



Mirosław Derecki (M.D.)

## EKRAN I WIDZ: POCHWAŁA PLAYBACKU (?)

Oglądając najnowszy film Janusza Zaorskiego „Baryton”, nie można uniknąć pewnych skojarzeń z doskonałym dziełem Istvana Szabo - „Mefisto” oraz refleksji na temat obydwu filmów, ich założeń oraz efektu realizacji. W jednym i drugim przypadku chodzi o próby hitleryzmu całkowitego podporządkowania sobie m.in. także ludzi sztuki, artystów.

U Istvana Szabo problem ów wyznacza cała treść filmu i ukazany jest w pełnej jaskrawości, podczas gdy Zaorski tylko jakby „podrysowywał” temat nadciągającego hitleryzmu, już mogącego budzić grozę, choć przez większość ludzi jeszcze nie docenianego i lekceważonego. Dopiero w ostatniej scenie „Barytona” pozwoli sobie reżyser na jeden mocny akord, mający być groźnym ostrzeżeniem dla uczestników filmowej intrygi.

Opowieść Szabo dzieje się w czasie, gdy Hitler już doszedł do władzy i realizuje swoje idee. Janusz Zaorski sprowadza akcję swego filmu do dokładnie dwóch dni: 28 i 29 stycznia 1933 r., poprzedzających datę wyboru Adolfa Hitlera na kanclerza Rzeszy. Któż by jednak myślał o niewysokim, trochę operetkowym „awanturniku politycznym” ze śmiesznym czarnym wąsikiem, gdy oto do jednego z polskich miast przybywa wywodzący się stąd światowej sławy śpiewak operowy, baryton występujący pod pseudonimem Antonio Taviatini! Właśnie ów przyjazd „chluby miasta” - po wielu latach nieobecności - oraz splot niezwykłych perypetii i zdarzeń, które nagle stawiają pod znakiem zapytania, całą dalszą karierę wybitnego artysty, są treścią filmu „Baryton”.

W jednej z wypowiedzi na temat swojego dzieła Janusz Zaorski stwierdzał: „Niełatwo było zrobić film, który jest właściwie trudny do sprecyzowania gatunkowo. Jest to bowiem zarówno film sensacyjny, jak i kryminalny, dramat psychologiczny i wreszcie film polityczny, a wszystko zabarwione humorem i dowcipem. Jest w tym filmie kilka gatunków, stąd też pokusa, aby z tych wszystkich cech zrobić coś jednorodnego”.

Istotnie: intryga goni w „Barytonie” intrygę, sensacja następuje za sensacją, polityka przenika się ze sztuką, a biznes - z seksem... Aż chwilami tych pomysłów, tych scen „drapieżnych”, tych dynamicznych, szybkich jazd kamery jakby było za wiele. Nawałnica filmowych zdarzeń nie tyle - jak tego zapewne chciał reżyser - dynamizuje akcję, co raczej ją zaciemnia, wikła, pozbawia klarowności.

Antonio Taviatini przybywa do swego rodzinnego miasta, aby obchodzić tutaj jubileusz pracy artystycznej. Ale - na głowie ma budowę opery w Stuttgarcie. Ale - nagle zmienia decyzję zatrudnienia na stanowisku dyrektora tejże opery swego sekretarza, człowieka ze wszech miar godnego owej funkcji, proponując dyrekcję swemu bratu z Polski, którego właściwie zupełnie nie zna. Ale - sekretarz ma mocny atut: jego kochanka jest żoną maestra, posiadającą wielki wpływ na męża. Ale - dyrektorem opery chce zostać także finansista niemiecki, z przekonania - hitlerowiec, który rozciąga swą pajęczą sieć nad wielkim barytonem i jego otoczeniem. Na szczęście (dla sekretarza marzącego o dyrekturze) hitlerowiec finansista jest homoseksualistą. Co „dokumentuje” - przy pomocy aparatu fotograficznego i w odpowiedniej chwili – sekretarz, którego podgląda przez dziurkę od klucza podczas erotycznego finału z żoną barytona - charakteryzatorka maestra. Mogąca teraz śmiało szantażować tych dwoje, w celu uzyskania angażu dla swej podopiecznej, początkującej śpiewaczki operowej. Tymczasem pojawia się nieuczciwy przedsiębiorca, wnoszący operę Taviatiniego; nie tylko zdefraudował pieniądze na budowę, ale chce wyłudzić jeszcze więcej. Maestro traci głos i nie będzie mógł zaśpiewać na jubileuszowym koncercie. Aliści - mistrz był cały czas na podsłuchu. I to jest szansa: należy odwrócić sytuację - utalentowany detektyw-radiokonstruktor potrafi w mig przestawić swoją aparaturę podsłuchową na nagłaśniającą. Mistrz śpiewa niby to do mikrofonu radiowego, a za jego plecami kręci się płyta gramofonowa. Artysta tylko otwiera i zamyka usta, symulując śpiew ku dzikiemu aplauzowi nieświadomych tłumów... I tak dalej.

Niestety: interesujący w założeniu pomysł filmu nabiera w trakcie realizacji coraz więcej cech nie zamierzonej groteski czy wręcz parodii.

W filmie grają: Taviatiniego - Zbigniew Zapasiewicz, a obok m.in.: Zofia Saretok, Aleksander Bardini, Jan Englert, Kalina Jędrusik, Małgorzata Pieczyńska, Andrzej Zaorski, Zdzisław Kozień. Każde z nich potrafiło stworzyć osobną kreację aktorską. Ale jednocześnie jakby tworzyli oni orkiestrę grającą bez dyrygenckiej batuty. Trochę podobnie, jak to się działo w przedwojennych polskich komediach: akcja była niby jedna, ale Fertner grał sobie, Bodo - sobie, Dymśza i Ćwiklińska - także sobie... Tylko, że wtedy było to bardziej do przyjęcia: bardziej się liczyła „gwiazda” niż poziom czy nawet treść filmu.

Wydaje się, że głównym mankamentem „Barytona” stało się owo pomieszanie gatunków, o którym mówił we wspomnianym już wywiadzie reżyser: konglomerat, nad którym nie zdołał w pełni zapanować. „Baryton” miał być dziełem z gatunku: „rozrywkowy z ambicjami i głębokim podtekstem”.

Niestety, jest to „gatunek”, na którym rozłożył się już niejeden światowej sławy reżyser. Tego nie da się ukryć, w przypadku Zaorskiego tym razem.